

Relacja p. Włodzimiera Mikucia, magwana w Gdańsku
w styczniu 1981 przez Metzgera Strasz.

1.
© ARCHIWUM WSCHODNIE

Przebywałem na folwarku Pokrajczyzna. Zaraz kilometr obok, w takiej wiosce, mieszkało rodzeństwo nauczycieli, którzy też ewakuowali się z Wilna. Oni utworzyli tajne kursy nauczania. Ja na tych kursach zrobiłem małą maturę / mam zresztą dokumenty ; oni po repatriacji do Polski złożyli cały wykaz uczniów w kuratorium. Gdy przyjechałem do Polski, wystąpiłem do Ministerstwa Oświaty i przysłali mi oficjalne świadectwo/.

Na tej wiosce było sporo młodzieży. W 1943 r. rozpoczęliśmy taką mini - działalność konspiracyjną. Przyszli do nas dorośli ludzie z Wilna, a zależało im na tym, bo ten folwarczek, Pokrajczyzna, był w odległości pół kilometra od torów kolejowych, które prowadziły z Wilna do Leningradu ; ruchliwa linia. Utworzyliśmy z nas "piątkę" w ramach jakiejś organizacji podziemnej - jak żeśmy się później dowiedzieli, była to komórka AK. Pięciu : jeden mieszka w tej chwili w Poznaniu, Janusz Grzesik, drugi mieszka we Wrzeszczu [w Gdańsku] , Stasio Czeszomski ; co się stało z pozostałą dwójką, nie wiem. Jeden podobno jest w Malborku, Michał Romańczuk, ale myśmy go szukali na wszystkie sposoby i nie mogliśmy znaleźć. Działalność polegała na obserwowaniu różnych transportów. Na wysokości tego mająteczku, przy torach, był przystanek kolejowy i przy nim tzw. stützpunkt niemiecki, gdzie Niemcy mieli swój nieduży garnizon, który pilnował torów kolejowych. Wszelkiego rodzaju informacje trzeba było przekazywać do Bezdana, do naszego szefa, który miał pseudonim "Biskup" - Olgierd Lichodziejewski /już nie żyje/. Jemu dostarczaliśmy wszystkie informacje, których od nas wymagano ; co się potem z tym działo, nie wiem.

Taką działalność prowadziliśmy od wiosny 1943 do listopada 1943. Ponieważ Niemcy zaczęli wachać tę sprawę i zostaliśmy wykryci, to w listopadzie 1943 cała nasza piątka powędrowała do partyzantki. Do I Wileńskiej Brygady AK, pseudonim dowódcy "Jurand", nazwisko Grombaczewski. Dowódcą mojego szurmowego

plutonu jest Roman "Korab" Żebryk. Po śmierci "Juranda" w czasie zdobywania Wilna był przez króciutki okres dowódcą Brygady.

W partyzantce działaliśmy do momentu wyzwolenia Wilna. Po akcji rozbrojenia wileńskiej AK w Miednikach pod Wilnem nie dałem się do Kaługi zabrać. W momencie, kiedy brygady schodziły do Miednik, Żebryk przyszedł do plutonu szturmowego, "słuchajcie - mówi- ja was zwalniam z przysięgi, róbcie co chcecie, bo się wszystko rozlatuje." I myśmy w czasie marszu do Miednik pod Wilnem wypatrzyli sobie wysokie żyto i we trójkę dali dyla w to żyto. Tak, że ja do Miednik na koncentrację nie dotarłem, nie byłem rozbrajany przez Rosjan i do Kaługi nie pojechałem. Ja poszedłem do lasu.

O Kałudze nic nie mogę powiedzieć. Wiem z opowiadań innych, ale to już mogłyby być jakieś przekłamania. Wiem, że ich powieziono do Kaługi, że w 1948 wrócili, mieszkali w jakichś ziemiankach, gdzie kiedyś stacjonował radziecki pułk. Tam pracowali przy wyrębie lasu, było mnóstwo aresztowań. Zostali sformowani w pułki Armii Czerwonej ; mają teraz ruskie książeczki wojskowe. To są wszystko takie drobne opowiadanka, ja nie potrafię szczegółów powiedzieć, bo nie brałem w tym udziału.

Pochowaliśmy się po lasach. Ja przyszedłem z powrotem pod Pokrajczyznę, tam się spotkałem z trójką moich kolegów z dawnej piątki - z rozbitków Brygady. Przyszli do nas z Wilna byli członkowie egzekutywy wileńskiej, m.in. "Fakir" - Kościałkowski. On był wykonawcą wyroku na Wandzie Wyleżyńskiej, wileńskiej agentce gestapo /opisuje to Piasecki w jednej ze swych książek/. Powiedział nam, że dowództwo wileńskie wydało rozkaz wyjścia wszystkich, którzy się uratowali, do lasu, tworzenia oddziałów i prowadzenia dalszej akcji zbrojnej, oczekiwania co dalej.

I myśmy poszli do lasu z oddziałem, który utworzył "Fakir" , było tam ok. 80 ludzi. Ja znalazłem się z "Fakirem" bardzo dobrze od "Juranda" /on był u "Juranda", w I Wil.Dyw. AK, zastępcą dowódcy kawalerii, "Ptasznika", a ja, zanim utworzył się pluton

szturmowy "Koraba"- Żebryka w kwietniu 1944, byłem właśnie w kawalerii/. Zrobił ze mnie dowódcę kawalerii w swoim oddziale, który powstał już po wyzwoleniu Wilna, czyli na zapleczu armii radzieckiej. To był sierpień 1944. W oddziale "Fakira" byłem do lutego 1945 r.

4 lutego 1945 w miejscowości Raubiszki koło Podbrodzia, a obok Santoki, dosłownie 3-4 km., przy linii kolejowej z Wilna na Podbrodzie, Święciany i Leningrad, oddział został rozбитý. "Fakir" został ranny i po kilku godzinach zmarł. Został pochowany nad jez. Dubińskim koło Sużan, na północno-wschodnim skraju tego jeziora, w leśniczówce w ogródku. Zostałem dowódcą niedobitków tego oddziału. Udało mi się od 4 lutego do 5 marca jeszcze ten oddział jakoś wyprowadzać. Bez przerwy byliśmy ścigani, cały czas szli po naszym tropie. Ganialiśmy wokół Wilna, na wszystkie strony. Z pod Podbrodzia przeszliśmy aż pod Oszmianę. Zostaliśmy rozbici ponownie pod Łukszanami, 5 marca 1945 r.

Oddziały ścigające nas to było NKWD - słynne "białe kożuszki", jak myśmy ich nazywali / wszyscy ubrani byli w białe kożuchy/. Oddział został rozбитý, ja byłem ranny w głowę, zostałem przez nich wzięty do Oszmiany, do szkoły. Tam było kilkunastu naszych chłopaków, m.in. pod Łukszanami wzięto również do niewoli Wandę Kiałko, żonę Stasia Kiałki, pseudonim "Gospodarz", szefa kwatermistrzostwa u gen. "Wilka" Krzyżanowskiego w Wileńskim Okr. AK. Wanda była najpierw wywieziona do Kaługi, stamtąd uciekła, dotarła do Wilna, trafiła do oddziału "Fakira". Po rozbiciu nasze losy były wspólne. Najpierw siedzieliśmy 5 dni w Oszmianie, potem przewieziono nas do Wilna, do siedziby NKWD - róg placu Łukiskiego i Zamkowej. Tam na zapleczu w podwórzu były garaże samochodowe. W nich odsiedzieliśmy około trzech tygodni, byliśmy przesłuchiwani w tym budynku. Stamtąd przeniesiono nas na tydzień na Łukiszki do więzienia, a potem samolotem z Porubanku z Wilna przewieziono nas do Moskwy - Wandę Kiałkę, jeszcze dwie sanitariuszki z oddziału, pięciu żołnierzy i mnie.

Na Łubiance - to był kwiecień /chyba/ 1945 r. - po pierwszych przesłuchaniach ich wszystkich pociągiem odprawili do Wilna. Ja, jako dowódca oddziału zostałem, dlatego, że był przygotowywany proces Okulickiego i Jankowskiego. Przygotowywano nas jako świadków do tego procesu, żeby udowodnić, że oni jako dowództwo AK utrzymywali na zapleczu Armii Czerwonej, na terenach radzieckich, jednostki AK. Że myśmy to chcieli oderwać od Kraju Rad.

Tych żołnierzy i trzy dziewczyny odwieziono do Wilna. W Wilnie odbył się proces. Mężczyzn wszystkich rozstrzelano /w Wilnie/, natomiast dziewczyny pojechały na Workutę.

Na Łubiance odsiedziałem do procesu. Byliśmy przesłuchiwanymi, przygotowywanymi do niego. Wożono nas dwa razy w takiej budzie z Łubianki do sali kolumnowej Domu Związków Zawodowych na proces; z tym, że tylko nas zawożono, nie byliśmy potrzebni. Z tej partii, która ze mną jeździła, na procesie występował tylko Czesio Stankiewicz /już nie żyje/ - również jeden z dowódców oddziałów. Jego oddział został rozbita mniej więcej tydzień po mnie; spotkał się na procesie.

W grupie wożonych ze mną na proces był jeszcze Janusz Pawliński, były przedwojenny oficer Dwójki, który był w sztabie gen. "Wilka". Lecieliśmy z Wilna do Moskwy tym samym samolotem. Leciał jeszcze z nami Działyński.

Na procesie nikt mi żadnych pytań nie zadawał - byłem tylko przygotowywany, gdybym był potrzebny. Po zakończeniu procesu, gdzieś w ciągu tygodnia, dostaliśmy wszyscy wyroki. My swojego procesu jako takiego nie mieliśmy, nas sądziło Osoboje Sowieszczanije, słynna "trójka". Po prostu przyszedł mój śledowatiel, ppułk Bałchawityn, który cały czas mnie w Moskwie przesłuchiwał, z kartką i mówi "tu jest wyrok, podpisz się, dostałeś z paragrafu 58, 1 a 11 - to jest bezpośrednia grupowa zdrada ojczyzny z bronią w ręku, dostałeś 8 lat". Podpisałem się. - "Co dalej?" - "W najbliższym czasie pojedziesz do obozu".

Na Łubiance siedziało się w kilku celach. Najpierw się dzieliśmy na górze w celi przebudowanej - z jednej zrobiono dwie, bo im miejsca nie starczało, niski suficik ; to była chyba nr 117. Potem 77 celi, potem jeszcze niżej, 47. Cele były jak 3/4 tego pokoju [3 na 4 m.], te nasępne, bo pierwszy to była izolatka, na kilka dni.

Na Łubiance siedziałem w pojedynce, cały czas. Tydzień po podpisaniu tego wyrokwsadzono mi jakiegoś Ruskiego. Do dziś nie wiem, czy to był kapuś, czy rzeczywiście jakiś następny skazaniec. On się przedstawił jako inżynier, specjalista od metali kolorowych, został aresztowany za to, że się po pijanemu źle o Stalinie wyrażał. Do dziś nie mogę rozszyfrować, co to było, po co już po wyroku, po wszystkim, przed wysłaniem do obozu, na tydzień wsadzono mi Ruskiego do celi. Przez ten czas byłem zupełnie sam.

Muszę powiedzieć, że warunki na Łubiance były zupełnie dobre. Łóżko na środku, całą noc pali się żerówka, rąk pod koc nie można chować, ale co dwa - trzy dni przychodziła pielęgniarka pytać czy coś mnie nie niepokoi, czy coś nie przeszkadza, nie dolega. Przed samym procesem, ponieważ smarkacz byłem 18-letni, a fryzjer przychodził do celi golić, przestano mi golić wąsy, żeby wyrosły, włosy były odpowiednio zachodowane. Z takich drobnych szczegółów : rozboleł mnie ząb jakieś trzy tygodnie przed procesem, zaczął mi puchnąć. Jak wziął mnie na przesłuchanie śledowateł, myślał, że mnie ktoś uderzył, Powiedziałem, że mnie boli ząb i wezwał lekarza . Położyli mnie z tym spuchniętym zębem do szpitala, napchali mi zastrzyków, wepchnęli plombę, która siedzi do dziś. Ja od tego czasu nie wiem, co to są zęby, tak mnie wyleczyli na Łubiance.

Tak, jak parę razy po zębach dali w Wilnie i nazywali nas "biełyje bandity", to od momentu przewiezienia na Łubiankę było zupełnie inaczej. Pierwszym przesłuchującym był facet w stopniu generała. Nie pamiętam, czy on się przedstawił Wyszyński czy Kolczyński w każdym razie takie polskie nazwisko. Powiedział, że on nadzoruje śledztwo ; gdybym ja miał jakieś pretensje do sposobów prowadzenia,

to śledowatielowi, ppułk. Bałchawitienowi, zażądać natychmiast widzenia się z nim. Wziął te nasze akta i mówi : " Co te sukinsyny z was zrobiły, jacy wy jesteście biali bandyci, przecież wy wyraźnie jesteście żołnierzami regularnej Armii Krajowej." Chodziło o to, by odnowić AK na zapleczu Armii Czerwonej.

Przesłuchania były w sposób bardzo kulturalny. On pozwoił np. żeby mi przedłużono spacer, bo ja się blady zrobiłem. Na spacer wywożono windą na dach na Łubiance. Tam jest płaski dach i porobione boksy, betonowe, z siatką na górze. Po środku stoi wielka wieża, w niej siedzi klawisz i obserwuje. Tam wywozili na 15 - 20 minut i - na dół. A ja mogłem chodzić tak długo, aż mi się znudzi. To było ósme, może dziewiąte piętro.

Śledztwo odbywało się w sposób bardzo kulturalny. On potrafił zawołać o godz. 11 wieczór, posadzić na taborecie, zawołać kolegę z sąsiedniego pokoju i grać do 5 rano z nim w szachy. A o 5 rano bez słowa odesłać do celi. I tak robił przez tydzień. A po tym tygodniu mówi : "no, siewodnia porabotajem". I zaczynał : "No to jak ty się nazywasz?" - po raz setny - a matka, a ojciec, a jak się nazywał taki, a kto to był taki ; tego typu pytanki. Często dawał czasami herbatę, czasami dawał kanapkę. W niedzielę np. potrafił zawołać, posadzić przed oknem /akurat okna wychodziły na plecy Dzierżyńskiego/ i opowiadać budynek po budynku, wieżyczka po wieżyczce co jest gdzie w Moskwie. Taka zabawa. Zresztą w czasie śledztwa on mi powiedział, ile ja dostanę - "ty jesteś oskarżony z paragrafu takiego i takiego, dostaniesz 8 - 10 chyba nie dostaniesz - lat.

Z początku nie, ale może po trzech tygodniach, co po niedzialek dostawaliśmy paczkę. Chleb zawinięty w pergamin, kawałek kiełbasy, cukierki, coś jeszcze ; co tydzień. Nie wiem, skąd to było może Czerwony Krzyż ? Tak, że można było wytrzymać. Przed samym procesem buty mi się rozeschły /oficerki, a tam sucho było/, więc wzięli je do naprawy. Guziki wszyli, już mówiłem o tym goleniu i wąsach.

Szokiem natomiast było to, co na Butyrkach; zupełnie

inne zachowanie strażników. Tutaj, [na Łubiance], to był Wersal. Po-
siłki przynosił kucharz w białym fartuchu, w czapce, na tacy. Straż-
nik otwierał, a on podawał, trzy razy dziennie, na tacy aluminiowej
czy ze stali nierdzewnej, w takich cylindrowych naczynkach, a jakże.
Bibliotekarka przychodziła - książki. Ja mówię, że nie znam rosyjs-
kiego - "to ja tobie coś poszukam". Przyniosła mi coś w rodzaju rosyj-
skiego elementarza, przy jego pomocy czytałem książki - wszystkie
jeszcze z carskich czasów, Dostojewski, Gercen, inne, pisane carską
czcionką ; radzieckich książek żadnych, wszystko z carskich czasów.

Z Łubianki, po osądzeniu przez OSO, zostaliśmy prze-
niesieni na Butyrki. W więzieniu butyrskim, byłej carskiej cerkwi,
więziennej, była "pieresylnaja kamiera". Cerkiew jest jedną celą.
Piętrowe, chyba w pięć pięter łóżka, trzysta - czterysta osób, bo
stale kogoś wsadzają, stale wywołują. Spotkała się tu kupa Polaków,
do procesu było przygotowanych kilkuset świadków. Spotkałem się m.in.
znowu ze Stankiewiczem. We fragmencie filmu z procesu szesnastu, po-
kazywanym w telewizji, Stankiewicz jest pokazany, taki na krótkiego
języka ogolony, z perkatym noskiem ; stoi i coś zeznaje. Spotkałem
też Janusza Pawlińskiego. [A jakie narodowości?] Wszystkie, gdzie zwy-
cięska Armia Czerwona dotarła, z Austriakami włącznie. Niemcy, Aus-
triacy, Czesi, Rumuni, Węgrzy, nie mówiąc o krajach nadbałtyckich,
Ukraina, Białoruś. Wszystkie narodowości i wszystkie zawody, także
księża.

Na Butyrkach byliśmy tydzień. Z Butyrek już kolumną pieszą
pogoniono nas na Krasną Presnię w Moskwie. Krasna Presnia to jest
pieresylnaja tiumna, gdzie są baraki i bocznicę, rampy kolejowe. Tam
przyjechali "pokupatiele", to znaczy specjaliści. Zaczęli sobie dobie-
rać, kto komu jest potrzebny. Komisja lekarska, sortowanie, warunki
okropne. Wsadzili nas już razem z kryminalistami, bo na Butyrkach
byli tylko polityczni. Po trzech czy czterech dniach wsadzili w wa-
gon, "eszałon", i transportem kolejowym zawieziono nas do Solikamska

Najgorszy moment to był na Presni, z kryminalistami.

Byliśmy dobrze ubrani, mieliśmy swetry, buty, Taki przychodzi 24

"ściągaaj buty, dostaniesz jakieś łapcie, bo ja wyjeżdżam przed tobą - i nie ma gadania, bo inaczej gardło poderżnę!" "Swetry oddawajcie" - w ten sposób. On naturalnie honorowo mówi - "ja tobie dam smienku". Więc on np. zabierał wełniany sweter, dawał za to podkoszulkę. Zdejmował oficerki i dawał sandały albo łapcie. Tak to się odbywało.

x x x x

[- Jaki był stan wiedzy prowadzących śledztwo, co wiedzieli o AK, o wydarzeniach na Wileńszczyźnie, o które pytali?]

- Oni byli doskonale poinformowani. Któregoś razu np., na Łubiance, wszedł niedużego wzrostu facet w mundurze porucznika, pięknie mówiący po polsku. - "Z której brygady jesteś?" Ja mówię "jak z brygady?"

- "W okupacji w której brygadzie byłeś?"

- "Pierwsza Juranda ."

- "Aha ! to Podbrodzie, Niemenczyn, te tereny. A w jakich akcjach? Byłeś pod Akantalcami, byłeś w Mickunach ?" Doskonale był zorientowany.

- "A z Markowem żeście się spotykali?" /Markow to był dowódca brygady w rejonie Święcian, Ruski./

- "No, parę razy mieliśmy z nim kontakt."

- "Tak, trochę wam skórę przetrzepali."

- "My im też."

Byli zorientowani, mieli informacje dobre.

[- Jak wyglądały kontakty z partyzantką radziecką na Wileńszczyźnie?]

Z partyzantką radziecką, nie będąc ukrywać, były stosunki nieprzyjazne. W różnym okresie różnie naświetlano, że tam wspólne działanie itd. Nic to nie prawda. Nie wiem, jak oni zachowywali się na Białorusi ; na Wileńszczyźnie były to normalne bandy, grabiące, mordujące, gwałcające. Normalne bandyckie oddziały. Mieliśmy z nimi

kilka przepraw, dobrych kilka potyczek. M.in. w Majrańcach koło Sużan, brygada "Juranda", "Błyskawica" i jeszcze ktoś trzeci, rozbiliśmy bazę radzieckich partyzantów. To było chyba 15 marca 1944 r. To jest gdzieś 30-40 km. od Wilna na północ, między Niemenczynem a Sużanami, miejscowość Majrańce. Potem, już w 1945 r., my z tej bazy korzystaliśmy. To była duża baza - na polance w lesie, między jeziorami, gospodarstwo rolne i wykopane bunkry, z podziemnymi połączeniami.

Partyzanci radzieccy pojawili się latem albo jesienią 1943

Poza tym podejmowali działania zupełnie nie skoordynowane z nami. Myśmy minowali - oni też minowali linie kolejowe. Myśmy się starali, żeby to nie zagrażało pacyfikacją miejscowej ludności. A oni, jeżeli linia kolejowa przechodziła przez wioskę, to potrafili w wiosce na tej linii wsadzić minę. Takie Drużyle, pół wioski po jednej stronie torów, pół wioski po drugiej, między Santoką a Podbrodziem - oni tam wsadzili minę, Niemcy przyjechali i w ciągu dwóch godzin spalili całą wieś i wystrzelali wszystkich ludzi. Oni się absolutnie z niczym nie liczyli.

Ale to była wysunięta jakaś placówka ; te oddziały były głównie zgromadzone koło jeziora Narocz, koło Świra. Tam były główne zgrupowania, bardzo duże. Poza tym już wiosną 1944 r. mieliśmy kilka potyczek z nimi w okolicy Puszczy Rudnickiej. Zasadzki na ich łącznikowe grupy, które przechodziły z bazy do wysuniętych placówek. Nie kochaliśmy się, tłukliśmy się z nimi bardzo. Najwięcej wlaź im za skórę "Łupaszko" - myśmy akurat mieli sąsiednie tereny działania i z brygadą "Łupaszki" stale byliśmy w kontakcie. Dlatego nie przystąpił do akcji "Burza" w Wilnie, tylko uciekał, bo wiedział, że on nie może liczyć na przyjaźń z Ruskimi.

[-Czym były wywołane starcia z partyzantami radzieckimi, czy aktywnym działaniem w tym kierunku z ich strony, czy przypadkowymi zetknięciami?]

Z tego, co ja się orientuję, oni po prostu niesamowicie się panoszyli, znęcali się nad miejscową ludnością. Nas nie tolerowa-

li, bo uważali nas za intruzów na tym terenie. Uważali, że to jest albo ich sowiecka Litwa, albo ich zachodnia Białoruś. Nas nie honorowali. W każdym spotkaniach dochodziło zawsze do konfliktu. Oni chcieli być uważani zy swoich, natomiast miejscowa ludność miała zupełnie inny stosunek.

Zresztą oni jak naszego kogoś złapali, to też nie pieścili się z nim i myśmy starali się odpłacać im w ten sam sposób.

Tam byli Rosjanie, Białorusini, było dużo uciekinierów z niewoli niemieckiej. Dużo było Żydów ;nawet żydowskie oddziały, szczególnie koło Świra, koło Kobylnika, jez.Narocz, to były bazy żydowskie.

x x x x

[- Litwini.]

Najgorzej Litwini zachowywali się w 1939 r., do 1940, do momentu zajęcia Litwy przez Zw.Radziecki. Dopiero potem trochę zmiękli.Najlepiej Litwini wobec Polaków zachowywali się w tym okresie, kiedy byli Niemcy. To jest moje odczucie. Natomiast najgorzej zachowywali się w Wilnie w 1939 r., w październiku, jak im Rosjanie po miesiącu oddali Wilno. Te wszystkie bójki w kościołach, które oni wyprawiali - ja pamiętam, bo w nich uczestniczyłem. Czapka jezuicka [gimnazjalna] to była rogatywka - nie można było w rogatywce przejść bo policjant ciągnął na komisariat, tam lali pałą i zabierali czapkę

Do 1940 r. mieszkaliśmy w służbowym domku przy samych Łukiszkach, to wiem, jak to było. Strażnik [Litwin] albo stał pod drzwiami, albo siedział w celi ; znowu był strażnikiem albo aresztantem. W 1940 r. , gdy weszli Rosjanie, komuniści doszli do władzy i poaresztowali wszystkich "burżuazyjnych". W 1941 Niemcy pogonili Ruskich, ci "burżuazyjni" zostali wypuszczeni, doszli do władzy i zaczęli łapać litewskich komunistów. Naruralnie także Polaków i wszystkich innych. W 1944 przyszli znowu Rosjanie i znowu się wszystko odkręciło

Dopiero jak ich Ruscy pogonili i Niemcy pogonili, wtedy

[Litwini] zrobili się trochę grzeczniejsi. To znaczy działał Szaulis, działała litewska sauguma /służba bezpieczeństwa/, oni uczestniczyli w represjach przeciw Żydom, w ekspedycjach karnych przeciwko Polakom. W ostatnim okresie, wiosną 1944 gen. Plechawiczius utworzył specjalne oddziały litewskie do zwalczania partyzantki polskiej na tamtych terenach. Moja brygada uczestniczyła w rozbiciu tego oddziału w Murowanej Oszmiance. Daliśmy im łupnia, Niemcy ich rozbili i [oddział] zlikwidowali. To były samodzielne litewskie jednostki wojskowe, utworzone za zgodą Niemców ; ochotnicze jednostki do zwalczania partyzantów. Najgorsza szumowina, jaka mogła być : nie było co robić, to poszli sobie do tego wojska. Umundurowali ich, dobrze zaczęli karmić, poili codziennie wodą i porobili z nich garnizoniki. Myśmy natychmiast zaczęli ich rozbijać. Największy batalion został rozbity w Murowanej Oszmiance, w kwietniu albo w maju 1944, po czym Niemcy te jednostki rozformowali.

[- Czy oni z radziecką partyzantką też walczyli?]

Tak, tłukli się ze wszystkimi.

x x x x

Wracając do Presni. Transportem kolejowym powieziono nas do Solikamska. W Solikamsku, to jest obóz przesyłkowy, wyładowano nas z pociągu. Posiedzieliśmy kilka dni, trochę nas pokarmili, komisje lekarskie nas pobadały, posortowali. Wsadzono nas na barki i Kamą powieziono do góry. Do miejscowości Bieriezniki. W Bierieznikach znowu przeglądy lekarskie, jakiś ciuchy nam nawet wydali, bo zaczynało się zimno robić. I Wisznią i Kołuwą zawieziono aż do Nyreba. Z Nyreba piechotą pogoniono nas do łagru wzdłuż rzeki Kołuwy. Tam byłem przez pięć lat - kilka sąsiednich obozów zmieniłem. Pracowałem początkowo przy wyrębie lasu. Potem zachorowałem na żółtaczkę, trafiłem do szpitala. W szpitalu lekarzem - więźniem był znajomy mojego ojca. Posłyszał moje nazwisko, zaczął mnie podpytywać, kto ja jestem ; jak dowiedział się, mówi "już ja cię nie puszczę, zostaniesz jako sanitariusz w szpitalu". Tam był taki system, że oprócz szpitala obozowego

było ambulatorium, gdzie przychodził chory i lekarz - wolny, oficer rosyjski, dawał zwolnienie od pracy na dwa, trzy dni i aplikował jakieś lekarstwo. Np. biegunkę leczono nadmanganem potasu do wypicia - takie płukanie. Najpierw byłem sanitariuszem w szpitalu, a potem, już nie pamiętam w jakich okolicznościach, zwolniło się miejsce lek-poma w ambulatorium i ten lekarz, Kanawka, Litwin wileński, zarek-mendował mnie temu oficerowi. w ambulatoriu lekarzem był oficer ro-syjski, bo chodziło głównie o wydawanie zwolnień - musiała być osoba zaufana. Straszna kolejka, lekarstw prawie żadnych, ale ludzie przy-chodzili, skarżyli się na różne rzeczy. Z odmrożonym palcem, z okale-czeniem z pracy /jak to na wyrębie lasu/. Mrozy - rekord był, pamię-tam, 57 stopni. Cała masa rozmaitych chorób, okaleczeń. Tam spotka-łem się z Bogdanem Jonczyńskim /mieszka w Gdyni/. On miał odmrożony palec ; w trudnych chwilach, kiedy lekarze mieli więcej roboty, drob-niejsze rzeczy trzeba było robić. Ten palec był już zgniły, wszystko obłaziło - ja tylko wyczyściłem to, a z palca nic nie zostało. Jon-czyński twierdzi, że to była amputacja i chodzi bez palca do dzisiaj

Cały obóz był zorganizowany w brygady - liczyły ok. 30 osób. Zupełnie mieszane towarzystwo [kryminalni razem z politycznymi] Z tym, że w brygadach ci kryminaliści, którzy chodzili do pracy, to byli ci gorsi, którzy nie potrafili się ustawić. Natomiast była cała masa kryminalistów, tzw. pryduków, którzy szwendali się po obozie, pełnili jakieś wymyślane funkcje, nie wychodząc w ogóle za bramę, do pracy fizycznej. Podstawowy trzon [więźniów] chodził do lasu. Brygada była podzielona na zwieno, do wyrębu to było trzyosobowe zwieno. Je-den miał za zadanie zwalić jodłę i pociąć ją na odpowiednie długości, drugi - obrąbać sęki, trzeci musiał je spalić i wyciąć całe poszycie. Szło się takim pasem, zostawała czysta ziemia. Poszycie musiało być całe wycięte do gołej ziemi, wszystko - zwalone, spalone, pieńek maksimum 30 cm. wysokości, okorowany, i pocięte dłużyce. Z kolei nas-tępne brygady wyciągały to drzewo do kolejek. Kolejki to były wózki na felgach, bez opon, które jeździły po drewnianych szynach /felgi

je obejmowały/.Dowozilo się je końmi na brzeg rzeki. Na brzegu dłużyce układało się w sztaple. Z dalszych odległości dowożono drewno ciężarówkami. To robiono przez całą zimę. W momencie, gdy lód tajał, to wszystko było zwałane do rzeki i płynęło do ujścia Peczory, czyli do Narianmaru. W Narianmarze spływające [drewno] łapali, sortowali, wiązali w pęki, ładowali na statki przystosowane do przewozu i wozi-
li po całym świecie. To był budulec, papierówka, kopalniaki i inne.

Pracowało się na okrągło, bez dni wolnych. Znaczący Nowy Rok, konstytucja, rewolucja październikowa, 1 Maj to były wolne.

[- czy robiono jakieś akademie w tym czasie?] Nie, po prostu dzień wolny. Jeżeli chodzi o karmienie, to było makabrycznie. Mój życiowy rekord [wagi] to 47 kg. Kapusta i "wesoły rebiata"- to taka trzycentymetrowa rybka, "kilka". Zagotują bydłą, pastewną kapustę, wrzucają do tego rybkę. Rano i wieczorem zupa, to jest podstawowy "pajok", i 300 g chleba. I, zdaje się, 400 g cukru na miesiąc. Reszta w zależności od wykonania normy. Norma była ustalona na to trzyosobowe ogniwo, "zwieno". Wieczorem przychodził "diesiatnik" i sprawdzał, ile się wykonało - mierzył średnicę, długość i wiedział, ile metrów kubicznych [drewna] zwalono. Zapisywał na karteczce, która wędrowała przez wszystkie rozliczenia aż do kuchni. W zależności od tego, ile na tej karteczce czego tam figurowało, dostawało się kawał śledzia, 100 g chleba więcej, albo łychę kaszy, albo "zapiekanke" - na tacy z rantem wylewano owsianą kaszę, ta zastygała i według miarek, linią krojono na [porcje wielkości] pudełka papierosów

Baraki drewniane, piętrowe prycze, piece z cegły, pełno pluskiew. Ubranie to łapcie i z rękawów porobione "pajpaki", to znaczy takie jakby skarpety, waciaki, kurtki. Bez bielizny. Pierwsze koce dostaliśmy w 1948 r. A tak - jeżeli to, co miałeś na sobie było suche, to się rozkładało i na tym spałeś. Jeżeli mokre - codziennie dyżurny zabierał do suszarni. Łapcie trzeba było co trzy - cztery dni oddawać do naprawy, gdzieś tam kawał łyka jeszcze wstawiali, a jak już nie nadaw^oy się do naprawy, to dostawało się nowe.

[- Czy tam docierało coś "nielegalnego"?] Nic. Tam nie ma w ogóle ludności miejscowej. To takie odległe tereny, że tam były tylko wojska "konwojne" i obsługa techniczna. Odwiedzin też żadnych, absolutnie nikt nie przyjeżdżał. Mało tego, nie było żadnej korespondencji. Całkowita izolacja, żadnego radia, gazety. Jeżeli czegoś się dowiadywałeś, to czasami konwojent w lesie coś szepnie. Zresztą konwojenci wcale nie mieli lepiej. Zdarzało się, że np. goniąc kolumnę z pracy, a to nieraz i pięć - sześć kilometrów, konwojent mdlał. Dowódca konwoju zabierał broń, ale konwojenta kazał nieść więźniom. W wojskach konwojnych byli młodzi chłopcy z zasadniczej służby.

Kary. Był tzw. karcer, izolatka. Za niewyjście do pracy, za naganne zachowanie, za przyłapanie na kradzieży, wsadzano na trzy, na siedem dni. Dawano 300 g chleba i wodę. Zimne pomieszczenie, pełno pluskiew. Śmiertelność bardzo duża, codziennie wywożono po kilka [trupów].

W obozie było ok. 1500 do 2000 ludzi. Transporty przybwały wtedy, kiedy można było [dotrzeć] - latem, w zimie nie było żadnej możliwości. Pod jesień było bardzo gęsto w obozie, a wiosną rzadziutko. Śmiertelność duża. Czasami ktoś tam - desperat - uciekał, to go zastrzelili, ale w tych kilku latach jeżeli 10 osób zginęło ze względu na ucieczkę, to wszystko, a reszta masowo, ze względu na warunki. Szkorbut - najlepszym lekarstwem było igliwie z "pichty" /to jest odmiana jodły/. Siekało się to, w dzbanie zalewało ciepłą wodą; powstało dzień - dwa i potem takie bardzo gorzkie, żywicą śmierdzące się piło. Kurza ślepotą - okropna choroba, ze względu na północ, koło podbiegunowe; parę godzin w dzień widno. Brak witaminy A. Lekarze od razu podpowiadali: w naszych warunkach tylko surowa wątroba może pomóc. Gdzie znaleźć wątrobę? Jedyna możliwość to szczury. Szczurów było wszędzie pełno, ganiały po latrynach takie, jak koty. Porobili się specjaliści - z włosia końskiego robili pętelkę i zastawiali [pułapkę]. Wątroba ze szczura kosztowała dzienną porcję chleba. Łykało się wieczorem dwie surowe wątróbki i rano człowiek wszystko widział, reakcja była od razu. To było jedyne leczenie.

Kryminaliści byli lepiej zorganizowani. Oni np. potrafili przegrać czyjąś porcję chleba w karty. Stawiali do banku dzienną porcję chleba piątego, dziesiątego, piętnastego i dwudziestego stojącego w kolejce. Potem, jak się stało w kolejce do "chleboriezki", to przychodził facet i mówił: "dzisiejszą porcję chleba oddasz temu". - "Dlaczego?" - "Bo ja ją wczoraj przegrałem w karty." [- Czy były próby przeciwstawienia się im?] Bywały, ale zwykle kończyło się ich zwycięstwem i poderżnięciem gardła albo wykluciem oka. To była beznadziejna sprawa. O wiele lepiej zrobiło się, jak nas oddzielili od kryminalistów.

Uciekano przeważnie nie z obozu, bo był bardzo mocno pilnowany, podwójna strefa ogniowa, wieże, reflektory, druty kolczaste, prąd. Uciekano na robocie. Do nowego kwartału lasu, który ma być wycinany, wysyłano brygadę, która wokół tego kwartału miała wyciąć "zapretną zonę" - stumetrowy pas, wyczyszczony na gładko, żeby można było postawić wieże i posadzić strażników. Dopiero potem wpuszczano przez bramę ludzi, którzy wewnątrz pracowali. No i szła taka brygada trzydziestoosobowa; po zagapieniu się strażnika ktoś tam dawał nogę do lasu. Ale zaraz był alarm, wyruszała specjalna ekipa, z psami. W każdym obozie są specjaliści [od ścigania uciekinierów], w zimę na nartach, z psami, z odpowiednim ekwipunkiem - i ruszają za takim. A facet co? 50 kg waży chłopisko, w łapciach; mróz, latem komary, błoto, bagna, więc gdzie pójdzie? Albo się utopi, albo z głodu umrze, albo wycieńczony będzie czekać, aż go znajdą. Następnego dnia, po dwóch, po trzech przytargiwali takiego pod bramę wyjściową, już zabitego albo go zabijali pod bramą. Wychodząc do pracy widziałeś, że już jest delikwent. Leżał kilka dni i wszyscy wchodzący i wychodzący wiedzieli, co ich czeka w razie ucieczki. Nie pamiętam wypadku, żeby komuś się udało. Raz było nawet tak, że rozbroili konwojentów i z bronią w ręku uciekli; po dłuższym czasie, ale jednak dano sobie z nimi radę. Niestety, była to rzecz niemożliwa. M.in. Janusz Pawliński uciekał, dogoniono go, strzelano, był ranny, przywieziono do obozu.

Nie zabili go. Ukarano go w ten sposób, że wyrok, który odbywał, rozpoczął się od dnia, w którym uciekł. To wszystko, co odsiedział, [nie liczyło się].

Tam pracowałem do 1950 r. W 1950 zarządzono odizolować politycznych od kryminalistów. Zabrano nas stamtąd, ponumerowano. Ja miałem numer D - 709 ; umieszczali na czapce, na piersi, plecach i na lewej nogawce spodni. Wsadzono nas z powrotem do Solikamska, potem w pociąg i zawieziono do Władywostoku. 58 dni pociągiem. Stamtąd statkiem do Magadanu i w Magadanie kopaliśmy złoto.

Przywieziono nas wczesną jesienią, ale jeszcze można było wytrzymać. Potem mróz, tam jest wieczna zmarzlina. Jak każdy obóz, jak każda brygada, tylko zawożono nie do kopalni, załóżmy, węgla, a do kopalni, gdzie się kopało piach. Ja nie widziałem ani krztyнки złota. Pod warstwą wiecznej zmarzliny kopało się piach, który szedł transporterami na górę do "obogatitielnoj fabriki". Tam go płukano, jakieś fragmenty złota wyławiano, a piach szedł z powrotem, zapełniano nim wyrobiska.

[Oprócz skazańców także wolni tam pracowali] - specjaliści, lekarz. Wyjazd stamtąd, nawet dla ludzi wolnych, jest kontrolowany. Tam nie ma w obiegu pieniędzy, ale czeki - talony. Nawet jeżeli miejscowi poszukiwacze znaleźli samorodek, to zdawali go do punktu skupu, ale nie dostawali za to pieniędzy, tylko talony, które realizowali w sklepach. W Magadanie jest osiedle, miejscowi specjaliści, nieduży port ; było już więcej ludzi wolnych. Udawało się czasami z kimś porozmawiać. Z tego, co się zorientowałem, oni byli w ogóle izolowani. Znaleźli się tam nie z własnej chęci ; byli skądś przesiedleni za coś, za karę posłani [do Magadanu].

[-Czy były tam lepsze warunki?]

Warunki w obozach w ogóle od 1948 r. /mniej więcej/ zaczęły się poprawiać. Był lepszy nadzór lekarski, np. od 1948 r. zaczęto zawozić do obozów bardzo dużo witamin, tzw. multiwitamin. Wyglądało, że to są dary amerykańskie. Takie duże tablety, jak się je rozgryzło, to widać było, że są układane warstwami. Dano bieliznę,

koce. Na zimę dostaliśmy walonki, a nie łapcie. Od 1948 r. mniej więcej do 1951, a od 1951 już było zupełnie względnie. Lepiej karmiono, posiłki trzy razy dziennie, czasami jakieś mięso się pojawiło, już czasami dawano jakiś omlet z proszku jajecznego.

W Magadanie byli tylko polityczni.

Po roku z powrotem ta sama trasa do Władywostoku i pociągiem do Karagandy. Przywieziono nas 30 km od Karagandy, wyładowano z pociągu na malutkiej stacji kolejowej Karabas. To chyba jest "Czarna Góra" po kazachsku. Goły step i nic więcej. Odgoniono od Karabasu 10 km w step i powiedziano: "tu będziemy budować sobie łagier, bo tu stanie kopalnia".

To był 1951 r. Rozpoczęliśmy od budowy obozu, pomieszczeń dla konwoju, obiektów towarzyszących. Potem zaczęliśmy budować kopalnię. Zawieziono całą ekipę ciężarówkami kilometr od obozu, gdzie stał kołek z napisem "szachta nomier 6/7". I od łopaty zaczęła się budowa kopalni. Tam także byli tylko polityczni.

Po pół roku zostałem przeniesiony do brygady, zajmującej się budową urządzeń naziemnych - baraczków, szatni, łaźni, domów dla personelu. Tam znowu trafił się kolega mego ojca, który pracował jako felczer w laboratorium i zarekomendował mnie do szpitala na felczera. Byłem felczerem do 5 marca 1953 r.

W Karagandzie za wykonanie i przekroczenie normy były naliczane kopiejki. Od czasu do czasu czynny był "łarok", gdzie można było sobie kupić /z UNRRY/ "małpi tłuszcz" - bardzo biały, w grudkach, przywożony w baniach. Można było dokupić cukru. Ale dawali tak malutko, że nie można było zaoszczędzić ani grosza, tak, że jak nas wypuszczono z obozu, to bez kopiejki.

W 1953 r. zwolniono mnie z obozu na "spiec-posielenie", to znaczy na zsyłkę. Zwolniono 16 osób, przewieziono nas do Akmo-lińska. Tam przyjechali po nas saniami zaprzężonymi w wielbłądy i zawieźli kilkadziesiąt km do kołchozu im. Krupskiej, do wioski Zwienigarodka. Tam były same tylko kobiety i to już przeważnie stare babcie; mężczyzn zabrano i wszyscy wyginęli. Byliśmy pierwszą

partią jakich takich mężczyzn przywiezionych z tego obozu. Przedsiadatel bardzo się ucieszył, zaczął nas pytać, jaki kto po specjalności. Ponieważ do niczego się nie nadawałem, poszedłem do kuźni na "młotobojca". Kowal-majster stuka małym młoteczką, a ja musiałem walić wielkim młotem. Ostrzyliśmy lemiesz do pługów ; to był marzec i trzeba było przygotować sterty lemiesz.

Pracowałem tam dwa, trzy tygodnie. Potem udało mi się wyrwać z kuźni. Kołchoz był obsługiwany przez stację maszynowo-traktorową im. Telmana w miejscowości Pawłowo. Tam udało mi się załapać, dzięki pomocy Ukraińca, u którego mieszkałem na kwaterze. On był traktorzystą. Przychodziłem [z kuźni] i jęczałem, jak to ciężko tym młotem walić ; on mówi: "ja ci pomogę, pójdziesz do mnie na pomocnika." Namówił dyrektora "maszyno-traktornej stacji" - zaangażowali mnie początkowo jako pomocnika. Pomagałem mu w remoncie, potem mi pokazał, jak się tym traktorem jeździ. Gdy się zaczęła wiosna, oranie, tośmy pracowali na traktorach na dwie zmiany. Zobaczyłem, że jest biblioteka /już czytałem dobrze po rosyjsku/, wziąłem parę książek o traktorach. M.in. wyczytałem, że najnowszy cud techniki to będzie traktor z silnikiem dieslowskim /tam były tylko traktory na naftę/. Tak się złożyło, że stacja maszynowo-traktorowa została poinformowana, że dostaje pierwszy transport z silnikami dieslowskimi. Dyrektor zebrał traktorzystów i mechaników - "co my teraz będziemy robić?" Ja mówię, że trochę się na tym znam. "Jak byłem w obozie, to mieliśmy generator na prąd na dieslowski silnik i ja tam pracowałem"-zbajerowałem go. On mówi : "dobrze, pojedziesz do Akmolińska z traktorzystami i przyprowadzicie te cztery traktory."

Pojechaliśmy. Jakoś tam przy pomocy książki, przy pomocy myślenia uruchomiliśmy traktory i uroczyście byliśmy witani w MTSie. Od razu zrobiono mnie pomocnikiem brygadzysty od traktorów dieslowskich, a po paru miesiącach zostałem brygadzystą. Tam pracowałem do listopada 1955 r.

W tej wiosce był posterunek milicji. Wszyscy zesłańcy musieli co trzy dni meldować. Była kartoteka, on wpisywał datę i

trzeba było się podpisać.

W listopadzie 1955 r. zawołano Polaków - było ich tam dwóch, poza mną jeszcze Jankowski /nie wiem, co się z nim stało po przyjeździe do Polski/. Powiedziano, że jest polecenie z Moskwy i będziemy wysłani do Polski, chyba, że wyrazimy zgodę na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego, to wtedy będziemy mogli zostać. A jeżeli odmawiamy, to niestety będziemy musieli być wysłani do Polski. Powiedziałem, że w takim razie jednak do Polski pojedę, ten Jankowski też. Wydano nam zaświadczenia, że taki i taki pracował na stanowisku takim i takim. Byliśmy już członkami związków zawodowych, więc dano nam związkowe "likarty" z naklejonymi znaczkami za składki. Wydano książkę pracy /"trudowaja książka"/ od 1953 do listopada 1955. Musiałem dojechać do Karagandy. tam wsadzili nas do pociągu

Do 1948 r., na Peczorze, razem z nami siedzieli Niemcy -jeńcy, którzy popełnili przestępstwa i zostali skazani wyrokiem sądu. Wtedy ich dawali do normalnego obozu. Skazani za jakieś przestępstwa, kryminalne albo polityczne, popełnione w obozie jenieckim, posyłani do łagru i byli razem z nami.

Міодзіміер Мікуць
Sopot, ul. Wybickiego 12/3
tel.: 51-03-36

Машынопіс застаў прайзаны праз п. Мікуць;
ніе манісцю заданых паправак. Можа
трактоваць, że ёсць заўважаны.

Matgorzata Stasz